Paul JOHNSON

WOLNOŚĆ
Rozważania o naturze ludzkiej[1]

> *Nie ma prawdziwej wolności, czy pełnej wolności, bez Boga. [...] Społeczeństwo świeckie jest miejscem o wiele bardziej bezpiecznym i atrakcyjnym, jeśli kobiety i mężczyźni boją się raczej Boga niż policji.*

Wolność – swoboda – każdy jej pragnie. Niewielu potrafiłoby powiedzieć, czym dokładnie jest, jak ją zdobyć, co z nią zrobić, kiedy się ją wreszcie zdobędzie, a przede wszystkim – jak jej sensownie używać. Ludzie myślą, że wraz z wolnością dostaną wszystko, czego pragną. Tymczasem – jak zauważył stary, mądry filozof polityki Sir Isaiah Berlin – „wolność jest wolnością, a nie równością, sprawiedliwością, bezstronnością, szczęściem czy spokojnym sumieniem". Można być wolnym po to, by umrzeć z głodu lub zostać zabitym na ulicy. Wolność to pojęcie, które popycha ludzi do wykrzykiwania bezsensownych sloganów czy powtarzania nadętej retoryki. Tłumy Afrykanów krzyczą: „Uhuru, uhuru!" – co w ich języku znaczy „wolność" – nie mając najmniejszego pojęcia, czym byłaby ona dla nich, nie wiedząc, że często wolność prowadzi wprost do tyranii, ubóstwa i nędzy, a w skrajnych przypadkach do powrotu do ludobójstwa i kanibalizmu. „Dajcie mi wolność albo śmierć" – krzyczał Patrick Henry, krewki osadnik, do przedstawicieli Konwencji z Virginii – głupstwo nawet wedle standardów demagogicznej retoryki. Henry dostał wolność – po to, aby fanatycznie walczyć przeciwko Konstytucji Stanów Zjednoczonych (jednemu z tych tworów ludzkiego rozumu, które najlepiej zachowują i gwarantują słuszną proporcję wolności) udowadniając w ten sposób, że w rzeczywistości nie miał pojęcia o tym, czego chciał. „Wolność albo śmierć" – to niekoniecznie alternatywa; historia ostatniego półwiecza, szczególnie w Afryce, ale także w takich krajach, jak Sri Lanka, Pakistan, Afganistan, Birma, Irak czy Iran pokazuje, że wolność i śmierć często idą w parze. Jednego dnia jesteś wolny, następnego martwy.

„Cóż stoi, jeśli upada wolność?" – pytał Kipling. To prawda, bez pewnego stopnia wolności ludzie to stworzenia nędzne, ograniczone i nieszczęśliwe. Ale

---

[1] Tłumaczenie: *Freedom. Taking Account of Human Nature*, „Crisis" 13 (1995) nr 3, s. 19-24.

wolność – zdana tylko na samą siebie – nie przetrwa; potrzebuje wsparcia rządów prawa, poczucia odpowiedzialności, poszanowania obowiązków. Wolność jest pełna paradoksów. Historia dowodzi, że ludziom często wiedzie się lepiej, kiedy nie są wolni lub są mniej wolni.

Przypomnijmy choćby dziwny paradoks afrykańskich niewolników z XVIII wieku. W większości pochodzili oni z najgorszego rodzaju tyranii plemiennych, gdzie mogli stać się przedmiotem niewypowiedzianych okrucieństw zgodnie z zachciankami bezlitosnych i żądnych krwi autokratów, gdzie życie było biedne, zwierzęce i krótkie (nasty, brutish and short). Byli „mięsem armatnim" w armiach plemiennych kacyków, którzy – jeśli potrzebowali pieniędzy lub broni – sprzedawali ich arabskim handlarzom, a ci z kolei odsprzedawali ich europejskim pośrednikom. Ci nieszczęśni mężczyźni i kobiety, zakuci w kajdany niewolnicy – co jest najwyższą formą ludzkiego zniewolenia – transportowani byli następnie w zatłoczonych statkach przez Atlantyk, by zostać sprzedanymi w Stanach Zjednoczonych lub Ameryce Łacińskiej. Wielu umarło w drodze, ale jeśli przetrwali, to ich życie w nowym świecie, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, było najczęściej pod wieloma względami lepsze niż to, które wiedli w Afryce. Któż może to ocenić? Czym mierzyć ludzkie szczęście i nieszczęście?

Jednym z kryteriów tutaj jest długość życia, co zakłada relatywną nieobecność przemocy, odpowiednie pożywienie, niezbyt wyczerpującą pracę i odpowiednie warunki materialne. Afrykanie, którzy przybyli do południowych stanów Ameryki z Kongo czy Angoli, jeśli tylko przetrwali podróż, żyli przeciętnie dwa razy dłużej niż ich ziomkowie na Czarnym Lądzie. Oczywiście, ludzie ci zmuszeni do tego, by stać się amerykańskimi imigrantami, nie byli zadowoleni ze swego położenia – często uciekali, a nieraz ryzykując życie buntowali się. Nie okazywali jednak chęci powrotu do „wolności" w Afryce. Przeciwnie, pomimo namów jedynie nieliczni dali się przekonać do przeniesienia się do Liberii czy Sierra Leone, kiedy państwa te tworzono w XIX wieku. Jak się wydaje, woleli niewolę w Ameryce niż wolność w Afryce. Do dzisiaj zresztą Afroamerykanie rzadko jeżdżą do Afryki nawet jako turyści – a prawie nikt nie chce osiąść w kraju swych przodków. Zbiorowa pamięć uczy ich, że Afryka była dla nich zawsze – i pozostaje – „Ciemnym Kontynentem".

Cóż przyniosło większe rozczarowanie niż przekształcenie w niepodległe państwa dobrze zarządzanych kolonii brytyjskich w Afryce? Weźmy przykład Sudanu. Nie była to nawet kolonia, lecz angielsko-egipskie kondominium zarządzane przez grupę brytyjskich i egipskich urzędników cywilnych. W większości byli to młodzi ludzie, pracujący za niewielkie pieniądze w okrutnym klimacie – każdy odpowiadał za 50 000 ludzi. Z powodzeniem prowadzili kampanie przeciw chorobom, suszy, powodziom, głodowi, fanatyzmowi religijnemu, zabobonom, czarom i brutalnej poligamii. Dzięki temu w czasach kondominium populacja i poziom życia szybko wzrastały, a kraj – po raz

pierwszy w historii – otrzymał odpowiednią infrastrukturę: drogi, kolej i inne środki komunikacji, szpitale, kliniki, szkoły i biblioteki. To był postęp – rzeczywisty, istotny, prawdziwy postęp. Następnie – w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych naszego wieku – Sudan uzyskał wolność, czego konsekwencją było coraz szybsze pogrążanie się tego kraju w wojnie domowej, strasznej tyranii, głodzie, masakrach, niezwykle brutalnych prześladowaniach rasowych i religijnych. Miliony umarły z głodu; miliony znalazły się, prawdopodobnie na zawsze, w obozach dla uchodźców. Kto zatem miał więcej wolności, by korzystać z życia: kolonialny czy „wolny" Sudańczyk?

Ta sama historia powtarza się prawie w całej Afryce, gdzie pięćdziesiąt lub więcej państw przekształciło się z kolonii w wolne i niezależne narody. Niektórym wiedzie się lepiej niż innym, choć tylko niewiele z nich ma dziś większy dochód na jednego mieszkańca niż w czasach kolonialnych – mimo że minęło pół wieku i pomimo wielu miliardów dolarów pomocy. Wszystko to wskazuje, że wolność i niepodległość, wolne i powszechne wybory, kongresy i parlamenty przynoszą bardzo niewiele ludzkiego szczęścia b e z r z ą d ó w p r a w a. Innymi słowy, niepodległość i demokracja nie mają żadnego znaczenia, jeśli nie towarzyszą im rządy prawa.

W Anglii – kolebce wolności – rządy prawa, wyższość prawa nad wszelkimi formami siły, były wcześniejsze niż parlament i dużo wcześniejsze niż demokracja. Parlament i demokracja, instytucje ważne i potrzebne, kiedy zaczęły funkcjonować, były już mocno osadzone w długiej tradycji, która mówiła, że sądy mają wydawać sprawiedliwe wyroki, że władca winien podporządkować się sędziemu, że prawo winno być spisane w sposób jasny i uczciwie egzekwowane – że prawo winno mieć moc najwyższą. Rządy prawa oznaczały, że król Henryk II, który sam był wielkim prawodawcą, winien zostać zmuszony do publicznej pokuty i restytucji, kiedy w roku 1170 na jego rozkaz zamordowano biskupa Canterbury; że w 1215 roku król Jan winien zostać publicznie upokorzony przez swych baronów i zmuszony do podpisania Magna Charta, Wielkiej Karty Swobód Anglii; że król Karol I winien stracić głowę na szafocie, jak każdy inny nisko urodzony przestępca, ponieważ gardził prawem. Wszystko to zdarzyło się na długo przedtem, zanim kobiety i mężczyźni uzyskali prawa wyborcze. Ale fakt, że wszystko to się zdarzyło i że stało się czymś oczywistym dla tych wszystkich, którzy mieli rządzić Anglią, oznaczał, że kiedy wreszcie kobiety i mężczyźni otrzymali prawo do głosowania, to miało ono realne znaczenie – było rzeczywistym symbolem, a nie kpiną z wolności.

Po drugiej stronie Atlantyku kolonie amerykańskie przejęły rządy prawa przywiezione z Anglii na statkach z imigrantami. Zakorzenili je oni mocno w sądach Massachusetts, Virginii, Connecticut, New Yorku, New Jersey i Maryland – wszędzie tam, gdzie się osiedlali. Stworzyli również własne zbiory praw, spisane i wspierane od pierwszych chwil osadnictwa przez zgromadzenia prawodawcze. Demokracja, która rosła stopniowo w trzynastu koloniach, była

niezmiennie osadzona na przekonaniu, że wobec prawa wszyscy są równi, że prawo winno być stosowane w ten sam sposób w odniesieniu do gubernatora i króla, co w odniesieniu do najniższego z jego poddanych. To dlatego, że koloniści byli przekonani, iż król i jego urzędnicy chcą być ponad prawem niespisanej konstytucji, chwycili za broń i pokonali króla. Następnie, chcąc zapewnić sobie bezpieczeństwo, wprowadzili spisaną konstytucję własnego pomysłu, dokładnie pokazując, jak prawo winno być tworzone, szanowane, egzekwowane i – jeśli zajdzie konieczność – zmieniane. Wszystko to zdarzyło się na długo przed wprowadzeniem powszechnego prawa do głosowania. Pełna demokracja – czy, jeśli kto woli, wolność – przyszła dopiero w sto lat po wprowadzeniu rządów prawa po zachodniej stronie Atlantyku. Ale ponieważ rządy prawa osadzone były na skale zwyczajów i nawyków kształtowanych przez stulecia, demokratyczna wolność, kiedy przyszła, była rzeczywista i trwała. W ten sposób zarówno w Anglii, jak i w Stanach Zjednoczonych zachowany został właściwy historyczny porządek pierwszeństwa.

To prowadzi mnie do następnego punktu moich rozważań: najlepszy i najpewniejszy rodzaj wolności przychodzi powoli, narasta w ciągu długiego czasu; każde pokolenie troskliwie i solidnie dokłada swą cegiełkę do tej rosnącej budowli. Wyraził to bardzo trafnie poeta Aflred Tennyson:

Kraj trwałego rządu
Kraj sprawiedliwej i dawnej sławy,
Gdzie wolność rozszerza się powoli,
od przypadku do przypadku[2].

Pragnienie natychmiastowej i całkowitej wolności zapomina często o tym, że najpewniejsza wolność przychodzi powoli. Na przykład na Haiti w 1790 roku niewolnicy otrzymali wolność bez żadnego przygotowania i bez żadnej mocnej podstawy rządów prawa. Dzisiaj, dwieście lat później, ich wolność i niepodległość nadal nie mają prawie żadnej wartości: Haiti jest jednym z najgorzej rządzonych krajów na ziemi, gdzie życie jest wciąż biedne, zwierzęce i krótkie. Podobnie w Liberii, wprowadzenie wolności i niepodległości w 1840 roku nie zostało poprzedzone żadną próbą położenia trwałego fundamentu prawa. Niepodległość jest bezwartościowa, jeśli życie nie podlega żadnej ochronie; wolność jest pustym słowem, jeśli silni nie przestrzegają prawa i jeśli jedynie ludzie z pistoletami znajdują posłuch. Czytałem ostatnio o smutnym wypadku, który zdarzył się tam niedawno, gdy trzy rywalizujące gangi żołnierzy walczyły o władzę nad stolicą, Monrowią, a niewinni ludzie – kobiety,

[2] A land of settled government
A land of just and old renown,
Where Freedom slowly broadens down
From precedent to precedent.

mężczyźni i dzieci – ginęli od ich kul. Zastraszony Liberyjczyk podszedł do pilnującego amerykańskiej ambasady komandosa i – padając na kolana – powiedział: „Panie Amerykaninie, proszę przyjść tu, żeby nami rządzić i wybawić nas z tej nędzy". Tak przemawia udręka obywatela, który dostał wolność bez żadnego znaczenia, wolność groźną, a nawet śmiertelną.

W niektórych przypadkach wolność wprowadzana była nie na podstawie rządów prawa, czy wraz z rządami prawa, lecz w atmosferze wrogości wobec rządów prawa. Na tym właśnie polega fatalna skaza rewolucji, która obaliła rządy Hiszpanów w Ameryce Łacińskiej. Oczywiście, nikt rozsądny nie zaprzeczy, że bunt kolonii hiszpańskich przeciw bezpośrednim rządom Madrytu był konieczny i nieunikniony, ale towarzyszyła mu wielka, w wielu przypadkach niepotrzebna przemoc, która zadała ciężki cios rządom prawa. Salvador de Madariaga w swej znakomitej książce o Simonie Bolivarze pokazuje to na wielu przykładach, słusznie oskarżając Bolivara – bez wątpienia nieprzeciętnego przywódcę i męża stanu – o nazbyt wielkie przywiązanie do rozwiązań opartych raczej na przemocy niż negocjacjach. Twierdzi on, że dzieło Bolivara – w formie, którą przyjęło – naznaczyło trwałą słabością politykę w większej części Ameryki Łacińskiej, prowadząc do politycznej niestabilności, ciągłych zamachów stanu i konspiracji, zawieszania konstytucji itp. Jak mi się wydaje, po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci Ameryka Łacińska idzie dzisiaj zdrową, konstytucyjną drogą; wyciągnęła wreszcie wnioski z wielu tragicznych lekcji przeszłości i otwiera się przed nią wspaniała i nieznana dotąd perspektywa rozkwitu. Ale proces ten utrwali się tylko pod warunkiem, że ludzie kształtujący opinię, wyciągną wnioski z lekcji ostatnich dwóch wieków i stale będą przypominać sobie i innym, że sama wolność nie wystarczy – że dla swego moralnego uprawomocnienia potrzebuje rządów prawa.

Wolność potrzebuje jeszcze czegoś więcej niż rządów prawa; potrzebuje czegoś, czego żadne prawo nie może wprowadzić – potrzebuje poczucia obywatelskiej odpowiedzialności. Osobista wolność to wspaniała rzecz, lecz poczucie wspólnoty to również coś wspaniałego – jedno bez drugiego na niewiele się zda. Nie będziemy potrafili rozwinąć poczucia odpowiedzialności – niezbędnego dla wszelkich dobrych rządów – jeśli tej odpowiedzialności nie nauczy się nas w naszych rodzinach, kościołach, szkołach i przedsiębiorstwach. Odpowiedzialność musi być wpajana od najmłodszych lat i wciąż umacniana przez nauczanie i przykład oraz przez mądre postępowanie instytucji. Samolubstwo i egoizm to coś złego, ale kolektywne samolubstwo i kolektywny egoizm to ruina dobrych rządów. Jest rzeczą istotną, aby chłopcom i dziewczętom, których w szkołach uczy się historii i nauki o rządzie, przekazywać pojęcie służby nie tylko wobec swych najbliższych, ale również wobec ich wspólnot i kraju. Troska o własny rozwój jest czymś dobrym i koniecznym dla ogólnego powodzenia, ale służba wspólnocie jest równie potrzebna; obie te rzeczy są najbardziej skuteczne i wartościowe, gdy idą razem. Najlepiej powodzi się

takiemu narodowi, w którym silny indywidualizm rozwijany jest w ramach silnej struktury wspólnotowej. Naród, w którym zachowana jest równowaga pomiędzy interesem własnym i służbą wspólnocie, jest narodem wolnym i bogatym.

Poczucie odpowiedzialności jest ściśle związane z poczuciem obowiązku. W dzisiejszym świecie słowo „obowiązek" nie cieszy się popularnością. Niemniej jednak jest to bardzo ważne słowo, ponieważ to, do czego się odnosi, jest spoiwem cywilizacji. Słyszymy dziś dużo o prawach. Mówi się, że wszyscy mamy prawo do wielu różnych dobrych rzeczy: prawo do wykształcenia, do opieki medycznej, do wolności wypowiedzi, do głosowania, do kandydowania na urzędy, do równości wobec prawa, do podróżowania, do należenia do związku zawodowego, do własności i do swobodnego dysponowania nią, a nawet prawo do szczęścia. Prawa te zapisane są w niezliczonych dokumentach, konstytucjach i powszechnych deklaracjach. Proklamowanie praw stało się modne od czasu, kiedy Rewolucja Francuska w 1789 roku zapisała pierwszą deklarację praw człowieka. Prawa te (a dodano do nich z czasem wiele innych) uznano za nieodłącznie związane z wolnością.

Ale „prawa", tak jak i wolność, mogą okazać się złudne. Wielu z tych, którzy tworzyli pierwszą deklarację praw z roku 1789, w cztery lata później straciło życie w czasie terroru albo trafiło do więzień, albo zostało zabitych w czasach tyranii Bonapartego. Rewolucyjny Saturn pożera swoje dzieci – jak to dowodnie pokazały rewolucje francuska, rosyjska czy chińska. W XX wieku około stu milionów kobiet, mężczyzn i dzieci posłanych zostało na śmierć przez reżimy nominalnie szanujące wolność i prawa człowieka. I proces ten trwa. W teorii nikt nie ma więcej praw, wolności i szans na powiększanie dobrobytu niż miliard ludzi żyjących w obszarze obowiązywania konstytucji Chińskiej Republiki Ludowej. Ale konstytucja ta nie jest warta papieru, na którym ją zapisano. W praktyce żaden członek żadnego innego narodu na ziemi nie ma tak wielkich szans trafienia do obozu koncentracyjnego. W tej chwili w chińskim gułagu znajduje się około dwudziestu milionów ludzi; większość z nich jest skazana na niewolniczą pracę. Niewielu, nawet jeśli odbywają wyraźnie określone wyroki, będzie miało okazję cieszyć się kiedyś nawet tą ograniczoną wolnością, którą mają inni, nie skazani Chińczycy. W komunistycznych Chinach rządy prawa nie istnieją. Podobnie prawo do głosowania nie ma żadnego znaczenia; przeciętny obywatel, chociaż teoretycznie jest niezależny, w rzeczywistości jest mniej wolny niż w czasach kolonialnych, kiedy znaczne połacie kraju były zarządzane przez Europejczyków i Amerykanów.

Dlatego domaganie się praw powinno być zawsze traktowane podejrzliwie. Stosuje się to również do krajów zachodnich, gdzie rządy prawa i powszechne głosowanie są rzeczywiste. W większości krajów o spisanych konstytucjach wolności oparte są na prawach. Większość posiada kartę czy deklarację praw

lub inny dokument tego rodzaju. Problem polega na tym, że pojawiło się zbyt wiele praw – rzeczywistych bądź urojonych. Optymistyczni idealiści wynajdują ciągle nowe prawa, nie zastanawiając się nad tym, czy są one możliwe do zrealizowania lub nawet czy są konieczne. Mówi się nam, że każdy ma prawo do pracy. Ale kto może zapewnić pracę wszystkim? Państwo nie może tego robić nie tworząc pozornych miejsc pracy, na których utrzymanie trzeba wydawać coraz więcej. Związek Radziecki gwarantował i w pewnym sensie dał pracę każdemu; w międzyczasie jednak zbankrutował i wszystko skończyło się na powszechnej biedzie; dziś mamy tam masowe bezrobocie, hiperinflację i prawie powszechną przestępczość.

Jeśli państwo nie może zagwarantować pracy każdemu, to czy może to zrobić ktoś inny? Odpowiedź brzmi: nie. A więc lepiej nie mówmy o prawie do pracy. Podobnie, słyszymy dziś o prawach dziecka – włączając w to prawo do rozwiedzenia swych rodziców. Tych teoretycznych praw dziecka nie da się w praktyce zrealizować, nie naruszając poważnie praw rodziców, nauczycieli i innych autorytetów. Taka jest w Wielkiej Brytanii wykładnia uchwalonej w 1989 roku Karty Praw Dziecka, która obowiązuje w pełni od roku i już pokazuje, że nie da się jej egzekwować.

Problem polega na tym, że mamy dziś więcej praw zapisanych w różnych ustawach niż sprawiedliwości, która mogłaby uczynić im zadość. Sprawiedliwość na świecie jest – w praktyce – ograniczona, podczas gdy żądanie praw jest nieograniczone i niezaspokajalne. Mamy coraz więcej konfliktów praw, a społeczeństwo coraz bardziej popada w moralną pułapkę. Prawo kobiety do „decydowania o swym ciele", co oznacza prawo do aborcji, stoi w sprzeczności z prawem do życia nie narodzonego dziecka. Prawo ubogiego – słuszne czy niesłuszne – do zasiłku będącego określonym procentem przeciętnej płacy, stoi w sprzeczności z prawem pracujących do zatrzymania rozsądnej części swych zarobków. Prawo upośledzonych mniejszości rasowych do „akcji afirmatywnej", „pozytywnej dyskryminacji" czy specjalnych kwot przy zatrudnieniu stoi w sprzeczności z prawem większości do równości w poszukiwaniu pracy, pomocy społecznej, edukacji i innych świadczeń. Nie możemy dawać praw przez nadawanie przywilejów jednym, nie naruszając tym samym praw innych.

Tym, którzy powiedzą, że system polityczny Stanów Zjednoczonych jest oparty na prawach i że działał on dobrze przez dwieście lat, odpowiem, że Deklaracja Niepodległości, Konstytucja i Karta Praw działały tylko dlatego, że Ojcowie Założyciele wiedzieli, iż Ameryka jest krajem ludzi wierzących, gdzie wszyscy obywatele od najmłodszych lat wychowywani są w głębokim i żywym poczuciu o b o w i ą z k u. Rodzina, Kościół, szkoła – wszystkie te instytucje nauczały młodzież poczucia obowiązku. Młodzi ludzie dorastali wypełniając swe obowiązki wobec rodziny, swych wspólnot, państwa i innych obywateli. A kiedy obowiązki spełniane są stale i sumiennie przez większość,

wówczas potrzeba przypominania o prawach jest mniejsza. W doskonałym społeczeństwie, w którym każdy spełniałby swe obowiązki, prawa nie są potrzebne – każdy automatycznie otrzymuje to, co jest mu należne.

Oczywiście, nie żyjemy w społeczeństwie doskonałym – dlatego prawa zapisywane są w ustawach. Ale praktyczna szansa ich realizacji wzrasta pari passu z dobrowolnym wypełnianiem obowiązków przez większość obywateli. W głęboko religijnym społeczeństwie – jakim była XIX-wieczna Ameryka, gdzie obowiązki były dobrowolnie uznawane i zazwyczaj spełniane przez wszystkich – prawa były znacznie mniej potrzebne i dlatego dużo mniej o nich mówiono. W XX wieku, kiedy w pewnych częściach Ameryki, szczególnie w wielkich miastach, religia podupada, prawa są dużo bardziej potrzebne i dlatego dużo więcej mówi się o nich. Wolne praktykowanie religii wiąże się z dużą dozą samodyscypliny, a tam, gdzie ludzie ograniczają swe pragnienia, rzadziej zdarza się naruszenie praw drugiego i potrzeba zabezpieczania ich przez ustawy jest mniejsza. Im rzetelniej ludzie spełniają swe obowiązki religijne, tym mniejsza jest potrzeba ustaw – pozytywnych i negatywnych – i dlatego ludzie mają więcej wolności. Samodyscyplina jest zawsze lepsza niż dyscyplina narzucona siłą.

Wniosek, do którego zmierzam, jest bardzo prosty, ale i bardzo ważny: nie ma prawdziwej wolności, czy pełnej wolności, bez Boga. Ludzie często pochopnie łączą religię z ograniczeniem wolności, z przymusem i narzuconymi regułami. To bardzo powierzchowny sposób widzenia religii. Społeczeństwo świeckie jest miejscem o wiele bardziej bezpiecznym i atrakcyjnym, jeśli kobiety i mężczyźni boją się raczej Boga niż policji. Winniśmy obawiać się czegoś lub kogoś, ponieważ nasza natura jest skażona – jest to fakt historyczny, który niegdyś zwykło się nazywać grzechem pierworodnym. Fakt ten można nazywać różnie, lecz pozostaje on prawdą o człowieku – nasza natura jest skażona i dlatego skłonni jesteśmy do grzechu, do łamania prawa. Skazę tę ogranicza prawo karne, policja, sądy, więzienie. Ale w tej mierze, w jakiej ludzie boją się Boga i starają się panować nad swymi namiętnościami, mniej potrzebują ograniczeń i kar wymierzanych przez państwo – i dlatego są bardziej wolni. To ma na myśli św. Paweł, kiedy w Liście do Rzymian mówi o „wolności w Chrystusie”. Przez samodyscyplinę, przez dobrowolne ograniczanie naszych namiętności, zdobywamy najcenniejszy rodzaj wolności – wolność, której nie da nam żadna konstytucja czy ustawa.

Stąd wszelka próba zrozumienia wolności musi uwzględnić rozbicie ludzkiej natury. Przypomnijmy słowa Pascala:

„Cóż za monstrum jest tedy człowiek? Cóż za osobliwość, co za potwór, co za chaos, co za zbieg sprzeczności, co za dziw! Sędzia wszechrzeczy – bezrozumny robak ziemny; piastun prawdy – zlew niepewności i błędu; chluba i zakała wszechświata. [...] Wielkość i nędza człowieka są tak widoczne, iż prawdziwa religia musi nieodzownie uczyć, i że jest jakiś znaczny pierwiastek

wielkości w człowieku, i że jest znaczny pierwiastek nędzy. Trzeba zatem, aby nam zdała sprawę z tych zdumiewających sprzeczności"[3].

Tej istniejącej w człowieku dychotomii, sprzeczności, straszliwego dualizmu, nie można rozwiązać bez Boga. Jedynie w kontekście Boga i religii podzielone części ludzkiej natury składają się w jedną całość. Żaden zbiór ludzkich ustaw, konstytucji czy deklaracji praw tu nie wystarczy. W dziełach jezuickiego teologa Karla Rahnera znajduje się fragment szczególnie doniosły dla rozumienia ludzkiej wolności. Jeśli sprzeczności w człowieku pozostaną nie rozwiązane – pisze Rahner – wówczas wolność traci swe znaczenie, staje się bezwartościowa. Istnienie słowa i pojęcia „Bóg" jest tym jedynym, co stawia człowieka twarzą w twarz z całością rzeczywistości i całością jego własnej egzystencji. Gdyby słowo „Bóg" nie było realne, to nie istniałyby również te całości. Tak jak niższe stworzenia bylibyśmy świadomi jedynie poszczególnych fragmentów rzeczywistości i poszczególnych fragmentów naszego życia. Gdyby Bóg zniknął, człowiek stałby się mniej świadomy samego siebie. Jak pisze Rahner: człowiek zapomniałby o całości i jej podstawie... i zapomniałby, że zapomniał. Przestałby być człowiekiem. Cofnąłby się do poziomu sprytnego zwierzęcia. Gatunek mógłby przetrwać w sensie biologicznym, mógłby nawet zachować swą technikę, lecz „umarłby kolektywną śmiercią i stałby się kolonią niezwykle zaradnych zwierząt". Biorąc zaś pod uwagę dzisiejszą technologię zniszczenia, ostateczny los człowieka byłby zbyt straszny, by o tym myśleć. Krótko mówiąc, nie wystarczy być wolnym w sposób, w jaki wolne są zwierzęta: powinniśmy być wolni w ramach moralnego uniwersum, które rozumiemy i przyjmujemy. A jeśli nie możemy być rzeczywiście wolni bez Boga, bez moralności i bez poczucia obowiązku, to ktoś winien być odpowiedzialny za to, by uczono nas tych rzeczy – z całą subtelnością i przekonaniem, których te złożone pojęcia wymagają.

Tłum. *Jarosław Merecki SDS*

---

[3] B. Pascal, *Myśli*, tłum. Tadeusz Żeleński (Boy), Warszawa 1953[2], s. 149, 143.